



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Papież Leon XIII w pontyfikalnym ubiorze.

Jubileusz Ojca Świętego.

W dniu 31 grudnia r. z. obchodził Ojciec św. Leon XIII, dziesiątą rocznicę kapłaństwa swego. W ostatnim dniu wian r. 1837 otrzymał święcenia, a nazajutrz 1 stycznia 1838 r. odprawił po raz pierwszy Mszę św. Cały kościół katolicki obchodził tę rocznicę uroczystym nabożeństwem, dziękując Stwórcy za utrzymanie w zdrowiu panującego nam szczęśliwie Namiestnika Chrystusowego i zanosząc modły o zachowanie go przy życiu przez długi jeszcze szereg lat.

Joachim Wincenty Rafael Pecci, urodził się 2 marca 1810 roku w Carpincto. Ojciec jego hr. Dominik Pecci należał do dawnego, zasłużonego Kościołowi i swej ojczyźnie rodu, a matka, jaśniejsza wyższymi cnotami chrześcijańskimi, zaszczerpiła miłość Boga i bliźniego w młodziutkich sercach swych dzieci.

Wychowany pod tak szlachetnym wpływem Joachim Pecci, oddany został w 1818 r. do szkoły Jezuitów w Viterbo, którą ukończywszy chlubnie, przeszedł do Kollegium rzymskiego, a następnie na wydział teologii uniwersytetu Gregoriańskiego, gdzie pracował tak wytrwale, mimo wątłego zawsze zdrowia, że już w 22 roku swego życia otrzymał stopień doktora św. Teologii.

Wielka nauka i mądrość młodego kapłana sprawiły, iż władze duchowne, pomimo jego bardzo młodego wieku, powierzały mu najtrudniejsze stanowiska. Nadzwyczajnym taktem, łagodnością i rzadkim rozumem godził zwaśnionych i uśmierzał zbuntowane umysły, przebywając kolejno w Benevenie, Perugii, Brukselli i t. d.

W uznaniu tych zasług zaledwie 35 letni kapłan zostaje biskupem, a w ośm lat później kardynałem. Po śmierci papieża Piusa IX w 1878 roku, zostaje obranym na jego następcę i zasiada na stolicy Piotrowej, jako Leon XIII, rządząc Kościołem Bożym mądrze i szczęśliwie.

Starożytne proroctwo nazwało go „światłem niebios” i rzeczywiście, wszystkie lata, przez które Jego Świątobliwość Leon XIII rządzi Kościołem katolickim, są dla niego jasnym pasmem tak na polu duchowym, jak i politycznym.

To też w dniu jubileuszowym Ojca św. spieszyli z hołdem i życzeniami zarówno kościelnymi jak i świeccy dostojnicy, a wśród tych ostatnich nie mało było osób innych wyznań.

Jako dary pamiątkowe Sułtan turecki przysłał Papieżowi pierścień z bardzo kosztownym kamieniem; królowa Regentka hiszpańska—kielich złoty, wysadzany również cennymi kamieniami, a prezydent rzeczypospolitej francuskiej—sześć przepysznych waz z porcelany sewrskiej.

Góra Biruty w Połudze.

(Dokończenie).

Już niespokojne konie rycerzy biją kopytami i radeby jak orły zerwać się do lotu; już wierna książęca drużyna oczekuje sygnału wodza, aby ruszyć cwałem do domowego ogniska i odpocząć po trudach i znojach. Lecz Kiejstut stoi, niecierpliwego rumaka hamuje wędzidłem, a wzroku nie może oderwać od świętego ognia. Patrzy na Widymuntową jedynaczkę, patrzy i napatrzeć się nie może. Za jej jedno spojrzenie oddałby chętnie wszystkie skarby złupione w ziemi pruskiej. Patrzy, a wzrok jego sokoł staje się dziwnie łagodnym, serce jego pieczone białe jak młot pod twardym pancerzem i topnieje jak wosk, na który padnie gorący promień słońca.

Wreszcie nagłym ruchem ręki nakrył głowę, spał ko-

nia ostrogą i już miał popędzić dalej, gdy wtem jakaś nowa myśl zajaśniała mu w oczach płomieniem, dzięki postanowieniu skrzywiło oblicze piękne i łagodne. Wydaje szybko rozkazy... Cześć wojska zapuszcza się w las, a on z niewielkim poczem otacza święte wzgórze, zeskakuje z konia, chwytając przerażoną Birutę, sadza ją w mgnieniu oka przed sobą na siodle i nie zważając na łzy i krzyki nieszczęsnej, leci jak wicher, że aż ziemia zda się drżeć, że aż towarzysze sprostać mu nie mogą w biegu...

II.

„Płyną lata falami na trockim zameczysku,
i Biruta nie płacze po żmudzkiej krainie...
W wieczór tylko, w zachodu jaskrawym odbłysku,
Gdy, jak morze, jeziora świecą fale sine,
Kiedy wody zaszumią, ptak jaki zakwili,
Ona myślą ucieka do ubiegłych chwili.
I wspomina na ojca, wspomina na brata,
Na świątynię Praurymy, na ojczyste kraje,
Na pamiątki z innego, z młodzieńczego świata,
Których do szczęścia sercu Biruty nie staje.
Ale nie pójdzie ona za rodziną swoją,
Bo przy łożu Biruty dwie kolebki stoją.
W jednej kolebce córka śpi z złotymi włosy,
Księżycowe ma jasne oblicze, spojrzenie,
I pogląda, jak księżyc, gdy wejdzie w niebiosy,
Siejąc po białym świecie srebrzyste promienie.
Jako gwiazda przyświeca nad dolą matczyną;
Przy niej mroki przeszłości jaśnieją i giną.
W drugiej kolebce matki i ojca nadzieje —
Młody Witold usypia. To słońce u wschodu;
Jeszcze wielkimi blaski po świecie nie sieje,
Lecz słońca i olbrzyma rozpoznasz za młodu.

(Witolorauda. Kraszewski).

I płynęły dalej lata, jak fale na trockim zameczysku. Książę Kiejstut, prócz Witolda, doczekał się jeszcze trzech synów: Patryka, Towciwiłła i Sygaily - Zygmunta, a matka ich, Biruta strzegła tak pilnie i wiernie domowego ogniska, jak niegdyś świętego znicza.

Po owej strasznej nocy, w której ją gwałtem oderwano od stóp ołtarza, przepłakała ona długie tygodnie w jednej z baszt trockiego zamku! Ale książę litewski, to pan samowładny i najzuchwalszy rycerz jego woli oprzeć się nie śmiał, a cóż dopiero słaba dziewczica, biedna wajdelotka. Biruta uwierzyła, że wola księcia, to wola Bogów, otarła błękitne oczy i została księżną na Trokach, wierną towarzyszką Kiejstuta.

Lata płynęły. Książę trocki staczał nieustanne bitwy, idąc zawsze ręką w rękę z wielkim księciem Olgierdem, k temu był nie tylko bratem przywiązany w pokoju, ale i n wierniejszym druhem w wyprawach wojennych. To t Giedyminowiczów obawiali się sąsiedzi; drżeli przed nimi nie tylko rycerze krzyża ale i dzicy Tatarzy.

Lecz kiedy Olgierd r. 1377 legł w grobie, zmieniło się położenie. Jagiełło wstąpił na księstwo wileńskie, a różniąc się od stryja obyczajami i dążnościami, rozpoczął z nim kłótnie i walki. Domowa wojna zawrzała. Sędziwy Kiejstut wzięty do niewoli, wtrącony do więzienia, zginął 1382 roku. Niewiadomo, czy sam targnął się na swoje życie w przystępie rozpaczki, czy zginął z rozkazu Jagiełły.

Śmierć Kiejstuta zadała cios stanowczy bogom narodowym.

Po zaślubinach Jadwigi z Jagiełłą i połączeniu Litwy z Polską, zagaś najpierw znicz w Wilnie, a potem w całej litewskiej ziemi, a więc i na krańcach Żmudzi, na ołtarzu bogini Praurymy.

Biruta, straciwszy męża, powróciła, jak niesie podanie, do swego rodzinnego zakątka i do końca życia słygnęła z wielkich cnót, dobroci i szczodrości.

Gdy umarła, ogłoszono ją za boginią i pochowano w miejscu, gdzie niegdyś w latach młodocianych pilnowała świętego ognia. Przywiązany i wdzięczny lud żmudzki. usypał nad jej grobem mogiłę, którą nazwał: „Raksztis Szwieta Birutas” *) a która stała się celem licznych pielgrzymek.

Wiek minął. Prawdziwa wiara ugruntowała się w sercach Litwinów, a miłością Chrystusową zapłonęła zwłaszcza Żmudź stara, świętą dlatego nazwana.

Lecz i dzisiaj pamięć o Birucie nie wygasła wśród ludu: świadczą o tem liczne piosenki gminne, świadczy kapliczka zbudowana na jej grobie, do której zwłaszcza kobiety żmudzkie dążą w smutku i złej doli, składając na ołtarzu ubożuchne swe wota.

I bezustannie modły gorące płyną ku niebu ze wzgórz nad morzem! Nie do bogini Praurymy, jak przed wiekami, do Matki Bożej, królowej nieba i ziemi: „Szwenta Marija, Motyna Dievo, melskis už mus giesznus dabar in wołandoje smerczio musu” **).

A las w około szumi; żółty piasek złoci morskie wybrzeże, o które rozbijają się rytmicznie koronkowe fale i słońce tak samo, jak przed wiekami zanurza codzień w odmęty swą purpurową tarczę, rzucając w cichy wieczór letni na wód powierzchni barwy tęczowe.

Jadwiga Warnkówna.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

II.

Ucichło na Bożym świecie. Po strasznej wichurze i śniegu, sypiącym gęsto, niebo wypogodziło się przesłicznie, wypłynął jasny choć nie pełny jeszcze księżyc, a nad skołataną ziemią zawisł ciemny błękit nieba usiany miliardami gwiazd, patrzących z wysoka swym jasnym, wyiskrzonym wzrokiem.

Uciszyło się też i w zakroczymskim zamku, domowi i goście zasnęli snem błogim, zasnęła nawet czeladź strudzona całodzienną pracą, którą im w końcu uroznaiciła gawęda o przybyłych niespodzianie dostojnych gościach. Przygasły światła w ziejącej ogniem piekarni i kuchni, spokój zupełny ogarnął zarówno ludzi jak i całe przestworze wśród zimowej nocy.

Lecz snąc sędzonym było, że noc ta mieszkańcom zakroczymskiego zamku nie przejdzie w tej błogiej ciszy i spokoju. Jeszcze bowiem pierwsze kury nie wydzwoniły swojego hasła, gdy ozwało się kołatanie do bramy i zbudziło drzemiącego w swojej czatowni stróża.

— Ki czort włóczy się tam po nocy! — mruknął niechętnie.

— Kto zacz!?! — zawołał wreszcie rozspanym głosem.

— Otwieraj! — krzyknął ktoś rozkazującym tonem.

— Nie otworzę, póki się nie opowiecie kto i za czym?

— Otwieraj! — powtórzyły rozkaz odrazu dwa głosy i niecierpliwie kołatanie rozległo się wśród nocnej ciszy.

— Aha, i zaraz, otworzę ja ci — mruczał pod nosem stróż. — Żebyś ty był co dobrego, oznajmiłbyś się odrazu!

*) Góra świętej Biruty.

**) Święta Maryo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.

I zamiast do furtki, powlókł się ku zamkowi, chcąc oznajmić panu Ignacemu o nowych, a gwałtownie do bramy dobijających się gościach.

Tymczasem kołatanie wzrastało się coraz więcej, drżały prawie od niego wrzeczadze, lecz to nie wpływało wcale na opór stróża, ani też nie przyspieszało jego powolnego i ociężałego kroku.

Lecz przybyłym mimo pięknej nocy nie chciało się stać pod gołym niebem, po kołataniu bowiem poczęli próbować, czy nie potrafią wysadzić furtki z zawias, lecz i to im się nie udało; otoczenie bowiem zameczka kasztelana zakroczymskiego było silne i na wszystkie przygody nader odporne.

Zmęczywszy się więc daremnymi usiłowaniami, dali za wygraną i jeśli przeochadzać się, oprowadzając też i konie, których obecność oznajmiało częste parskanie. Stróż zaś nim doszedł do zamku, zakołatał do stajen i zbudził kilku parobków. Po wieczornym wszakże poczęstunku, jakim go przybyli utraktowali, zamroczyło mu się tak jakoś w głowie i tak opowiadanie ich o bogactwie i przepychu, poplątało się z obecnym kołataniem, iż nie wiedział co ma myśleć o tych nocnych, a niespodziewanych odwiedzinach.

— Ba, powiadano, że królewicz do zamku zajechał, a może on się niebożatko przed jaką pogonią ukrywa, a może, czego Boże uchowaj, jaka czarownica chce chłopię królewskie w jakiego zwierza zamienić i w chłopca się zamieniwszy, kołace do bramy... — myślał sobie, budząc po drodze stajennych i żegnając się krzyżem świętym co chwila. Dowlókł się nareszcie i zakołatał do zamku, ale tu nowa bieda. Nikt nie wiedział, gdzie się na tę noc umieścił pan Ignacy, to tylko było pewnem, że izbę swoją odstąpił komuś z przybyłych. Pokojowiec zaś za nic w świecie nie chciał budzić gościa, boć mu nawet o tym napadzie opowiadać zgola nie wypada. Tymczasem jak zaczęto szurać, gadać, otwierać, najpierw jakoś zerwał się Kazik.

Przybycie dostojnego gościa, może słowa jego: „bądź pewnym naszej łaski”, względy jakie mu okazywał podczas wieczerzy oraz przyrzeczenie, iż uprosi ojca, że go na swój dwór wziąć pozwoli, tak oszołomiły młodzieńca, iż sen z jego oczu uleciał zupełnie.

— Napad, czarownica, pełno ludzi pod bramą. Czarownica przedzierzgnęła się w jakieś zwierzę, którego nikt jeszcze dotąd z żyjących nie widział, powtarzane były wprawdzie szeptem, lecz tak częstym, że gdy Kazik wyszedł ze swojej izdebki, odrazu spotkał się z wieścią, która wśród ciemności i nocy mogła najodważniejszego o przestrach przyprawić.

— Nie dam, obronię go — zawołał śmiało, ufny w siłę, którą najstarsi ludzie w nim podziwiali.

I nie namyślając się długo, odział się jak mógł najprędzej, przypasał szabelkę krótką lecz wypróbowanej dobroci, która mu jako jedyna spuścizna po ojcu została, wziął toporek do ręki i szedł, by stanąć przy komnacie tego, którego tak gorliwie zamierzał bronić. Zaraz w korytarzu prowadzącym do komnat dworskich, spotkał się z Piotrusiem, który sądząc, że rodzice przyjechali i stąd powstał ruch w zamku, spieszył, aby im o dostojnym gościu oznajmić.

— Chęć go zabrać, szkodę mu jakowąś uczynić, bodaj czarownicę i dzikie jakieś zwierzęta nasłali! — zawołał Kazik.

— Co ty mówisz?

— To co słyszysz! — odrzekł Kazik.

I nie wdając się w dalszą rozmowę, pospieszył dalej.

— Czekał, pójdę z tobą! — zawołał Piotrus,

Lecz Kazik nieczuły był na to wołanie, zdawało mu się, że każda chwila zwiększa niebezpieczeństwo, które teraz w jego wyobraźni olbrzymiało. Spieszył więc, aby temu niebezpieczeństwu zaprzeczyć w oczy, na czas stanąć w obronie tego, który samem oddaniem mu tacy z chlebem i solą, wziął go już niejako za swego dworzanina.

Utykając wśród ciemności, dotarł wreszcie do komnaty słabo oświetlonej dogasającym ogniem na kominię; drzwi były uchylone; chciał je zamknąć, sądząc, że tam gość spoczywa, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy ujrzał drzemiącego imci pana Ignacego.

Wszedł więc śmiało i dotknąwszy jego ramienia, zawołał:

— Jegomość! jegomość!

— Jestem na rozkazy jego królewskiej mości! — zawołał, zrywając się na równe nogi marszałek.

— Jakiś napad, bodaj dzikie bestye przyprowadzono... odrzekł Kazik.

— Gdzie? kto? — pytał pan Ignacy, przecierając oczy i nie mogąc się połapać, co jest snem, a co rzeczywistością.

— Pod bramą pełno ludzi i dzikich bestyi, stróż przyszedł do jegomości z zapytaniem, co ma robić — mówił Kazik przyciszonym głosem, nie chcąc zbudzić śpiącego gościa, którego obecności domyślał się w sąsiedniej komnacie.

— Nie wpuszczać, na miłość Boga, nie wpuszczać! — zawołał marszałek.

A potem dodał:

o jakich słyszał w baśniach i opowiadaniach od licznego niewieściego dworu pani kasztelanowej.

— A wy co robicie? — zapytał, uśmiechając się łagodnie pan Opaliński.

— Przysłiśmy go bronić! — zawołał Marcin.

I wskazał na komnatę królewicza.

— Dzielni z was młodzieńcy! — odrzekł ochmistrz — lecz nie wiem, skądby mu miało grozić niebezpieczeństwo?

— Pan Ignacy właśnie tam poszedł. Czuwał tutaj; szukano go po całym zamku, stróż przyszedł dać znać o tych z pod bramy; podobno jest jakaś czarownica i straszne dzikie zwierzęta. Zbudził czeladź, już wszyscy są na nogach! — opowiadali czterej chłopcy jeden przez drugiego, bez najmniejszego ładu.

Pan Piotr słuchał ze spokojem i pewną wyrozumiałością tego opowiadania, z którego nic nie mógł zrozumieć.



Krzew bambusu, rosnący w Himalajach.

— Bóg mię natchnął i święci Jego anieli, żem postanowił noc całą czuwać nad bezpieczeństwem tego dziecięcia!

To mówiąc wybiegł, a wybiegając spotkał się z Piotrusiem i dwoma jego braćmi.

Dwaj starsi mieli prawdziwe pałasze, które niedawno otrzymali od ojca i dzielnie już nawet niemi robić umieli, najmłodszy zaś trzynastoletni zaledwie, miał tylko drewnianą szabelkę. Bracia jednak nie mogli mu wyperswadować, ażeby pozostał.

— Nie jestem przecie dzieckiem — zawołał i wraz z braćmi stawił się do obrony.

— Dobrze! — zawołał Kazik.

I stanąwszy na ich czele uszykował przy drzwiach komnaty, w której Zygmus spoczywał.

— Co się stało? — spytał pan Piotr Opaliński, zajmujący z przybyłym jedną komnatę, a który zbudzony szmerem i chodzeniem, wstał, ażeby się przekonać, co to ma znaczyć.

— Jacyś ludzie pod bramą, chcą zabrać królewicza — rzekł Kazik.

— Nietylko ludzie, ale i moc dzikich bestyi! — ozwał się Jędrus, gdyż w wyobraźni jego stanęły wszystkie smoki,

Marcinek zaś biorąc ten jego spokój za nadzwyczajny przestrach, zawołał butnie:

— Niech się imci pan ochmistrz nie boi, my go nie damy!

Pan Opaliński uśmiechnął się znowu, pokręcił głową i szepnął sam do siebie:

— Któżby nań miał napadać, co oni plotą!

Poszedł jednakże się przywdziać; miał bowiem zamiar wyjść i przekonać się co to wszystko znaczy. Od chłopców nie mógł się niczego dowiedzieć. Czarownica zaś i dzikie bestye, nie trafiły do jego przekonania, a jako mąż stateczny i rozumny, uważał je tylko za wytwór wyobraźni chłopięcej.

Tymczasem pan Ignacy wyszedłszy w podwórzec, znalazł już całą czeladź na nogach, stróż zaś nie wytrzeźwiony jeszcze, opowiadał coraz potworniejsze wieści, w które w końcu sam już uwierzył.

— Jak jeli kołatać, to się skry posypały, a siarkę i smołę tak czuć było, com myślał, że się piekło rozstąpiło, co zaczęło ryczeć, jakom jeszcze takiego głosu nie słyszał — mówił do pana Ignacego, który idąc wprost ku bramie, zadziwiał całą czeladź nadzwyczajną swoją odwagą.

— Coby to mogło być? — kalkulował sobie, rozmyślając nad opowiadaniem stróża.
 — To ci niczego się niebojący! — rzekł jeden z czeladzi.
 — Ba, taki w żadne ci czarowniki nie wierzy! — odrzekł inny.



Drzewa bambusowe.

I przeżegnawszy się szedł ociężałym krokiem za marszałkiem.

— I siebie i nas na zatracenie prowadził!
 — Aleć i stróż chyba też z nim trzyma, idzie, ani pyta — odzywały się wśród czeladzi przyciszzone głosy.
 Szli jednak wszyscy.

Jedni przez posłuszeństwo do którego nawykli, inni wiedzeni ciekawością i chęcią ujżenia raz przecie na własne oczy, czarownicy czy czarownika i owych dzikich bestyi, o których tylekroć w opowiadaniach od starych ludzi słyszeli.

Tymczasem kołatanie do bramy coraz więcej się wzmagało; przybyli uciszwszy się na chwilę, gdy usłyszeli ruch w podwórzu, ponowili swe natręctwo, chcąc się raz dostać pod dach, a może i oznajmić polecenie z jakim przybyli.

— Kto zacz? — zawołał pan Ignacy.

— Otwierać!

— Nie dam rozkazu, ażeby otworzono, póki się nie dowiem, kto zacz i po co! — odrzekł marszałek.

— W imieniu najjaśniejszej pani, królowej jejmości przybywamy z poleceniem do jego królewskiej mości jej syna! — ozwał się głos z za bramy.

— Chryste Panie! toć oni mówią, że od najjaśniejszej czarownicy! — szepnął stróż, który dosłyszał tylko pierwszy wyraz, a resztę sam już dopełnił.

— Otwieraj! — zawołał pan Ignacy.

— Jegomość każe otwierać?... — spytał z niedowierzaniem.

— Otwieraj! — powtórzył marszałek. I rozkaz swój poparł kuliakiem w kark, przestraszonego i zdziwionego stróża.

— W imię Ojca i Syna... — począł tenże żegnać się. I trzęsącemi rękami nie mógł wielkim kluczem trafić w otwór od zauka.

A czeladź zdziwiona i przestraszona, przyświecała pochodniami, które pan Ignacy kazał zapalić, aby tem lepiej zajrzeć w oczy mniemanemu nieprzyjacielowi.

Po długich usiłowaniach stróż otworzył nareszcie furtkę, skrzypnęły wrzeciady, a jeden z przybyłych rzekł:

— Z poleceniem i pismem do najjaśniejszego królewicza od królowej jejmości.

— Otwierać bramę! — zawołał pan Ignacy.

Nim wypełniono rozkaz, wbiegł przez furtkę maleńki, nie trzymający i łokcia w futerko i czapkę ubrany człowieczek i dziwne począł wyprawiać skoki, szczękając przytem zębami.

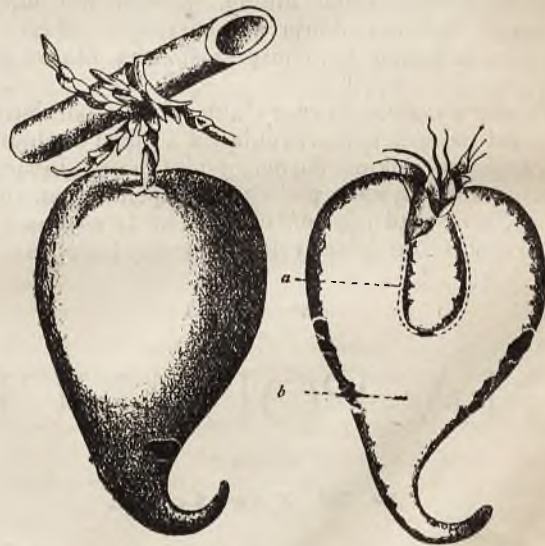
— O Jezu! — zawołał stróż i klucze mu z rąk wypadły.

— W imię Ojca i Syna! — wołał, żegnając się, i patrzył z przestachem na maleńkiego, zaszytego w futro człowieczka. Inni też o mało pochodni nie upuścili i sami nie wiedzieli co myśleć o przybyłych, którym pan marszałek tak skwapliwie bramę kazał otwierać. Przestach malował się na wszystkich twarzach, nie tylko czeladzi ale nawet i dworzan, których kilku uzbrojonych na prędce pan Ignacy wziął ze sobą.

— Złe, złe, nie chybi — mówiono sobie pocichu.

I kto miał ręce wolne, kładł znak krzyża świętego, a inni szepotali modlitwy.

— W takiego malutkiego ludka się przedzierzgnął, a to kumoszki mówią, że wtedy najgorszy — rzekł jeden z dworskich, który się nasłuchiwał opowiadań starej klucznicy, będącej na łaskawym chlebie.



Owoc bambusu (Melocanna Bambusoides).

Owoc w przecięciu podłużnem.

I teraz każdy dorzuczał słówko patrząc na skaczące stworzonko.

Wśród ogólnego przestachu jeden tylko pan marszałek nie stracił przytomności.

— Otwierać bramę! — krzyczał z całej siły.

— Szukać mi kluczy! — dodał, widząc, że stróż je upuścił i z wystraszoną twarzą a otwartymi ustami stoi oniemiały.

— O głupecze! głupecze! — wołał ze złością pan Ignacy.

(d. c. n.)

BAMBUS CZYLI TRZCINA INDYJSKA.

Wdzieliście już może nieraz laski i meble, które w ostatnich czasach dosyć się u nas rozpowszechniły, z łodygi bambusu, rosnącego w Indyach Wschodnich, na wyspach Moluckich i w Ameryce, ale nie wiecie może, że bambus jest gatunkiem trawy trzeźnowatej, dorastającej 60 stóp wysokości, a 6 cali i więcej grubości. Trawy te, wyglądające jak olbrzymie drzewa, rosną kępami i zajmują obszerne przestrzenie. Liczą do dwustu gatunków bambusów, rozpadających się na dwadzieścia przeszło rodzin rosnących w strefach podzwrotnikowych. Najwięcej tych gatunków znajduje się w Azji, dalej w Ameryce, a najmniej w Afryce. W Andach tworzą one na ogromnych obszarach nieprzebyte gęstwiny. Bambus najbujniej rozwija się nad rzekami i strumieniami, a w gęstych jego zaroślach szukają schronienia bawoły, nosorożce i inne zwierzęta drapieżne. Owoc u niektórych gatunków jest tylko drobnym ziarnem, u innych jagodą, orzechem lub pestkowcem podobnym do gruszek; te ostatnie przedstawia załączona rycina. Jest to roślina najszybciej rosnąca; w okolicach zwrotnikowych w przeciągu dwóch miesięcy wyrastające źdźbła dochodzą wysokości 40 metrów; przez dwadzieścia cztery godziny zatem przybywa ich 70 centymetrów; żyć zaś może od 60 do 70 lat. Gdy trzcina dosięgnie zwykłej swej wysokości, zaczyna drzewnieć i rozgałęziać się. Początkowo gładka, połyskująca, koloru zielonego, potem żółta i brunatna, a nawet czarna staje się w końcu, tak twardą, że przy rąbaniu siekierą suchych łodyg iskry się sypią. Młode wypustki bambusów, zaprawione w szczególny sposób, używają się za pokarm jako jarzyna. Ziarna bywają gotowane jak ryż. Grube łodygi służą do budowania chat; wydrążone do noszenia wody; najcieńszymi wyplatają sprząty, wykładają ściany, pokrywają dachy, robią altany, słowem dla miejscowych mieszkańców bambus oddaje wszechstronne usługi. W Chinach i Japonii każdą też chatę wieśniaczą otacza gaik bambusowy.

Papier wyrabiany przez Chińczyków z bambusu, poszukiwany jest przez artystów; robią też z niego wachlarze, parasole i kapelusze pięknie bardzo wyplatane na Jawie, a przez Europejczyków używane pod nazwą kapeluszy panama.

Widzimy stąd jak pożyteczną jest ta roślina i jak wielkie przemysł ludzki umiał osiągnąć z niej korzyści.

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

— Czekaj — powiedziała Ludwinia do Zosi — podprowadzę cię do domu. Ale może ciębie nóżki bołą, Julinko?

— Nie, ja mogę dużo chodzić — odrzekło dziecko, przytulając się do swojej przybranej opiekunki.

Były na pół drogi, kiedy naprzeciwko ukazał się Staś, który szedł na poszukiwanie siostry, aby razem wrócić do domu.

Obie dziewczynki uścisnęły się za ręce, przyrzekając zejść się znowu jutro i zwrócić się do domów.

II.

Ulicą Krakowskim Przedmieściem szedł o zmroku już samym mężczyzna nie pierwszej młodości, dość otyły, lecz pomimo to surowych, energicznych ruchów.

Uszedłszy niewielki kawałek drogi, wstąpił do sieni jednej z kamienic, udał się po schodach na pierwsze piętro i zadzwonił do drzwi, na których błyszczała tabliczka z napisem: Dr. Józef Bobrowicz. Służący otworzył drzwi i ujrzawszy przybyłego, zabrał się skwapliwie do odebrania płaszczaka.

— A kto tam jest? — zapytał przybyły ujrzawszy eleganckie palto na wieszadłach.

— Doktor Jeżowski, proszę pana.

— Aha, to dobrze. A herbatę prędko poda nam Antoni?

— Za minutę.

— To bardzo dobrze — powiedział znów przybyły i wszedł do przyległego gabinetu, gdzie w fotelu pod oknem ujrzał młodego eleganckiego mężczyznę, który na jego widok powstał z miejsca i spieszył z powitaniem.

— Witam kochanego kolegę — zawołał przybyły — i przepraszam, za opóźnienie. Ale trudno, chorzy nie mogą czekać, a ci, coby mogli, to znowu nie chcą i najbardziej się niecierpliwia.

— Szanowny kolega zawsze ma humor na zawołanie — roześmiał się tamten.

Doktor Bobrowicz zatarł ręce z zadowoleniem.

— Rzeczywiście, jestem dziś w dobrym humorze, bo udało mi się wprowadzić w wykonanie środek cudowny na choroby nerwowe.

— Bój się Boga! szanowny kolego, a odkryje przedemną tę metodę, abym i ja mógł korzystać z twego doświadczenia. Cóż to za taki cudowny środek?

— Praca, praca! kochany kolego. Ale nie taka praca na zamydlenie oczu, tylko wytrwała praca fizyczna na świeżym powietrzu.

— To środek, którego skuteczność zalecana jest od niepamiętnych czasów.

— Święta prawda. Ale widzisz kolega w tem rzecz, aby nietylko wykazać skuteczność jakiejś metody, lecz skłonić do jej wykonywania.

— I szanownemu koledze to się udało?

— A udało mi się.

— Jakim sposobem?

— Zaraz opowiem.

— Proszę panów na herbatę! — zawołał Antoni, ukazując się we drzwiach.

— Proszę, niechże kolega pozwoli — wyrzekł dektor Bobrowicz.

Obaj panowie przeszli do jadalnego pokoju, gdzie stał stół zastawiony przyborami do herbaty. Obowiązki gospodarza domu w podejmowaniu gościa, zajęły kilka chwil doktorowi Bobrowiczowi; dopiero gdy już zasiadł wygodnie na swoim kraeśle, powrócił znów do swego przedmiotu.

— Więc tedy mówiłem koledze o użytym przez siebie sposobie. Będzie już jakiś czas temu, wbiega do mnie pewien strapiiony ojciec, wzywając do swojej córki. Co jej takiego? pytam. — Okropna, straszna choroba! — Co? tyfus? zapalenie płuc? — Nie, nie, chwała Bogu! tylko straszne zdenerwowanie. — W jakim ona wieku? — pytam dalej. — Piętnaście lat. — Hm, myślę sobie, piętnaście lat i zdenerwowanie, dziwne rzeczy. Czy przechodziła jakie ciężkie choroby? — Żadnych. — Więc gdzież źródło złego? — Nie wiadomo, musi być ukryte. — Dobrze, bardzo dobrze, mówię. Zobaczymy.

Idę tedy do mojej pacjentki. Badam, słucham, opukuję. Organizm zdrowy zupełnie, dobrze rozwinięty, choroby żadnej ani śladu.

— Mój kochany przyjacielu — mówię do ojca pacjentki — bo trzeba koledze wiedzieć, że znalazłem go małym chłopczkiem w szkołach — mój kochany przyjacielu, kto ci też powiedział, że twoja córka dotknięta chorobą nerwową?

— Pani Kwiecińska to zawsze utrzymuje — odpowiada strapione ojczyisko. — Pytam co to za jedna ta pani Kwiecińska, i dowiaduję się, że to jest ciotka mojej młodej pannotki, wychowująca ją od śmierci matki. Osoba niemłoda, która sama będąc ogromnie słabowitą, wszędzie dopatruje niebezpieczeństwa choroby, a że straciła dawniej kilkoro

własnych dzieci, więc też drżała w każdej chwili o przybraną córkę, do której przywiązała się całym sercem.

— A więc kochany przyjacielu—mówię dalej—powiedzże mi z łaski swojej, czyście używali jakich środków przeciwdziałających chorobie, której się dopatrujecie w waszej dziewczynce?

— A jakże — odpowiada skwapliwie biedny ojciec — niczego nie żałowałem na to, co tylko mogło zapewnić jej zdrowie, gdybym miał stracić połowę majątku, nie zawahałbym się ani na chwilę, byleby jej zapewnić zdrowie.

Zaczyna mi dopiero opowiadać, jak od jej najmłodszych lat, dzieckiem jeszcze małym, wysyłał ją na zimę do cieplejszych krajów, do Tyrolu, i Włoch, następnie dla wzmocnienia górskim powietrzem, do Szwajcaryi; jak obawiając się, aby wysiłek umysłowy nie szkodził dziecku, pani Kwiecińska nie pozwalała małej zmuszać do lekcji; jak nie dawano męczyć się jej żadną pracą, nie sprzeciwiano się w niczem; jak dziecko miało wszystko czego zapragnęło, jak jej dogadzano, pieszczono, ustępowano we wszystkim.

— No, no! — pomyślałem, chwytając się za głowę — a toście, biedacy, sami stworzyli zło, które was dręczy. Wmówiliście w dziecko chorobę, wychowali na kapryśnicę, znudzoną zbytkiem i dogadzaniem, bo miała tego wszystkiego za dużo, i teraz martwicie się bezpotrzebnie.

Zaczynam tedy tłumaczyć ojcu i opiekunce, żeby zmienili sposób postępowania, żeby dziewczynkę wdружиły do użytecznej pracy, do obowiązkowego zajęcia, bo zło, którem jest dotknięta, nie potrzebuje żadnej mikstury z łacińskiej kuchni, ale pochodzi z tego, że dziewczynka jest znudzona, nie mając czem się zająć.

— Powiadam im: nie woźcie jej po wodach i zagranicach, na to będzie czas później, teraz niech pracuje nad sobą, niech stara się wzbogacić umysł pożytecznymi, gruntownymi wiadomościami, aby kiedyś, zwiedzając obce kraje, wiedziała na co patrzeć i jak patrzeć, a nie spoglądała na świat i ludzi bezmyślnymi oczami, jak kawka na swój wizerunek odbity w kałuży wody.

— Ha, ha, ha! oryginalne szanowny kolega ma porównania.

— Ale powiedz kolego, nie mam racji?

— Przyznaje, że najzupełniejszą.

— Powiadam tedy: jedźcie z nią na wieś, tam niech panią wstaje raniutko, pije mleko, zrzuci eleganckie pantofelki i ażurowe pończoszki, a biega boso po piasku i po zroszonej trawie, kąpie się w zimnej wodzie, poszuka sobie w ogrodzie zajęcia. dogląda gospodarstwa, zajrzy kiedy niekiedy do jednej, drugiej i trzeciej chaty wiejskiej, aby zobaczyć jak też to prosty lud sobie żyje, a daję wam słowo uczciwego człowieka, że z choroby jej nie zostanie ni śladu, rozwinię się, skrzepnie, nabędzie rumieńców.

— I cóż opiekunowie pacjentki na tę radę, usłuchali?

Doktor Bobrowicz machnął ręką.

— Niby to przyrzekli na razie zastosować się do niej.

Ale jak tu przekonać kobietę wątlą i słabowitą o użyteczności ruchu, zajęcia i pracy; jak wmówić na raz w ojca, drżącego o życie jedynego dziecka, że jego troski nie mają najmniejszej podstawy?... Trudne zadanie, prawda kolego?

— Bez wątpienia.

— Właśnie. Więc też i oni niby to przyrzekli zastosować się do udzielonej przezemnie rady, niby to próbowali, ale skończyło się na tem, że pani Kwiecińska zaczęła płakać, załamując ręce, że dziecko za delikatne na tego rodzaju doświadczenia, rozchoruje się z pewnością; ojciec też powiedział że łzami w oczach, iż sama myśl, że dziewczę może zachorować, odbiera mu odwagę.

— Ale widzi kolega ja też jestem uparty i nie odstępuję nigdy od raz przyjętej zasady. Przytem żal mi było i tego zacnego ojca, tak ślepo przywiązanego do dziecka i tej dziewczynki, której życie mogłoby upływać pożytecznie i wesoło, a schodziło Bóg wie po jakiemu. Więc zmieniam zupełnie postępowanie, zamiast przekonywać ojca i ciotkę, że dziewczynka jest zdrową zupełnie, daję im do zrozumienia,

że zaczynam się obawiać dla niej na przyszłość groźnych komplikacji i że, jeżeli metoda, którą zalecam, nie zostanie zastosowaną, za nic nie ręczę.

— I to poskutkowało?

— Zaraz, poczekaj kolega. Przedewszystkiem szło mi o to, żeby sama pacjentka puściła się z własnej woli mojej metodzie, bo wiedziałem, że w przeciwnym razie na nic wszystko się nie zda. Cóż ja tedy robię? oto napędzam jej trochę strachu w sposób całkiem niewinny, gdy zaś spostrzegłem, że to nie przeszło bez wrażenia, przynoszę jej opis w jakiejś gazecie, jak to nawet pewna, córka królewska, dla wyleczenia się z choroby nerwowej, zajmuje się fizyczną pracą, niby wiejska dziewczyna i mówię do mojej, pacjentki: Przeczytaj to sobie panią, i przekonaj się, jak to znać zaraz rozumną kobietę, i niech ci będzie przykładem, że kiedy ukoronowana głowa może zamiatać i kurze ścierać w swoich apartamentach, to panią możesz kopać kawałek ogrodu, lub choćby dajmy na to, wydoić krowę, aby mieć świeże mleko na śniadanie. — Kolega się śmieje?

— Ale bo szanowny pan przywiódłbyś melancholika do śmiechu.

— A jednak widzi kolega, nie było to pewnem, i na tem właśnie zależy skuteczność mojej metody.

— Wyjeżdżają na wieś?

— Niech Bóg broni! Pani Kwiecińska jest tak osłabiona, że nie może się odważyć na podróż, sam zaś Mirski musi dla przeprowadzenia znacznego przedsięwzięcia pozostać w Warszawie. Lepiej więc robią, bo za moją poradą oddają dziewczynkę do domu najzaciejszych i najrozumniejszych. jakich znam ludzi, niejakich państwa Skalskich, moich najlepszych przyjaciół.

Antoni ukazał się na progu.

Jakaś pani chce się z panem doktorem koniecznie widzieć.

— Trzeba było powiedzieć, mój Antoni, że godziny przyjęcia u nas już skończone.

— Kiedy proszę pana, ta pani nie chce się sama radzić, tylko przyszła pana prosić do dziecka, które bardzo zachorowało.

— A to co innego, idę, w tej chwili idę. Przepraszam kochanego kolego, ale my lekarze nie rozporządzamy własnym czasem.

I doktor Bobrowicz powstał żwawo, wziął laskę, nieodstępną swoją towarzyszkę, i pospieszył do oczekującej na niego matki chorego dziecka, a z gabinetu dochodził jego głos, uspokajający strwożoną kobietę:

— Ale niechże się pani nie niepokoi; każdej matce zdaje się, że dziecku jej grozi jakieś zło szczególne. Obaczysz pani, że chłopaczek za trzy dni będzie zdrow jak ryba.

— Oh! panie doktorze! — westchnęła biedna matka.

— Tak, tak, nieinaczej, niech mi pani wierzy, przecież ja się znam trochę na tem. Co? dorożka już czeka na dole. Tem lepiej. Jedźmy, tylko proszę się nie trwożyć, bo niema czego.

— No, patrzcież państwo! już go niema i nawet się nie pożegnał ze mną — pomyślał doktor Jeżowski. — Wymówię mu to jutro przy spotkaniu — dodał z uśmiechem, schodząc ze schodów.

Trudno! doktor Bobrowicz znanym był z tego, że gdy szło o przyniesienie ulgi w cierpieniu, zapominał nietylko o innych, ale i o sobie. Zaczyna też to była dusza!

III.

List Józji Mirskiej do Izi N.

Kochana Iziu.

„Wyjazd mój z Warszawy nastąpił tak nagle, że nie mogłam zaczekać nawet, aby pożegnać się z tobą, gdy wrócisz z rodzicami od krewnych, u których bawisz w Płockiem.

Kiedyśmy się rozstawały, nie było oczywiście nawet mowy o tem, abym miała wyjeżdżać do jakiegoś cichego zakątka na

wieś, że zaś nie wyjechałam za granicę, jak to zwykle miało miejsce, to jedynie z polecenia doktora Bobrowicza, który uważa, że właśnie taka zmiana jest konieczna dla wzmocnienia mnie pod względem fizycznym. Tylko proszę cię, moja Iziu droga, nie mów mi, że to potrzebne dla moich nerwów, bo tego wyrazu „nerwy” nie mogę znosić od pewnego czasu, bo ja wcale nie jestem nerwowa, słyszysz Iziu? Ja wcale nie chcę być nerwowa, i prosiłam cioci, żeby nigdy nie mówiła o mnie, jako o „dziecku nerwowem”. Dla czego tak jest i dla czego zgodziłam się na ten wyjazd na wieś, to ci zaraz opowiem,

„Jak wiesz, od pewnego czasu udziela nam rad lekarskich doktor Bobrowicz. Jest to dawny, bo jeszcze ze szkół znajomy ojca, chociaż od niego znacznie starszy, i bywa u nas ze względu na ciocię bardzo często.

„Otóż niedawno temu jechałam na spacer z ojczulkiem w aleje Ujazdowskie, kiedy ojczułek ujrzawszy doktora Bobrowicza idącego chodnikiem, kazał zatrzymać powóz, wysiadł i skłonił koniecznie doktora, aby przejechał się z nami.

Nie byłam temu wcale przeciwna, to mi się tylko nie podobało, że musiałam siedzieć na przodzie, bo ten doktor Bobrowicz, mówiąc między nami, nie zna się wcale na wytwornej grzeczności, zasiadł sam odrazu, bez zrobienia najmniejszej ceremonii w głębi, a kiedy ojczułek chciał dla mnie obok niego miejsce zrobić, a sam zająć moje na przedniej ławeczce, doktor zawołał, przytrzymując go: — Nie kręć no się, przyjacielu, pomieścimy się przecież obok siebie, chociaż nam tuszy nie brak, a panience zostawimy też jeszcze całą ławeczkę.

Fi donc! jaki brak delikatności, prawda Iziu? Toż jestem już prawie panną dorosłą, więc to ja powinnam była siedzieć w głębi, a nie jak dziecko jakie na przodzie. Postanowiłam też całem mojem zachowaniem dać poznać doktorowi Bobrowiczowi niewłaściwość podobnego postępowania; oparłam głowę o poduszki, przymknęłam oczy i udawałam tak, jakbym zupełnie nie widziała, że się pomiędzy nimi znajduję. Nie patrzyłam zresztą na nic, bo powiem ci szczerze, że mnie te codzienne spacerki kareta po alejach Ujazdowskich już znudziły. Od czasu do czasu ojczułek pochyłał się nademną i zapytywał szeptem: czy mnie głowa nie boli? — Odpowiadałam, że nie, ale czyniałam to umyślne głosem omdlałym, żeby wywoływać znów zapytanie ojczulka, bo ogromnie lubię jak mi okazuje taką nadmierną troskliwość, a powtórę chciałam dać poznać doktorowi Bobrowiczowi, że ja tu jestem główną osobą, którą się przedewszystkiem zajmować należy

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Olbrzymi hotel. — Ile jest języków na świecie. — Nagroda za nauczanie. — Zaćmienie słońca w Chinach.

Jeden z tegoczesnych bogaczy amerykańskich, na wzór podobnego domu wzniesionego dawniej w Londynie, postawił

obecnie własnym kosztem w Nowym Yorku olbrzymi hotel, zawierający przeszło 500 pokoi i przeznaczony wyłącznie dla uboższej ludności. Hotel ten otworzono niedawno w sposób uroczysty. Wśród najbrudniejszych i najbiedniejszych dzielnic miasta, w miejscu, gdzie niegdyś mieściły się jaśkinie zbrodniarzy i przestępców i w ogóle nędzarzy, wznosi się obecnie olbrzymi gmach dziesięciopiętrowy, wyłożony marmurem, z marmurowymi schodami, wielkimi salonami i t. p. Liczne windy utrzymują komunikację pomiędzy piętrami. Pokoje urządzone z wielką prostotą, wszędzie znajdują się łazienki. W dniu otwarcia hotelu tłoczyli się tam milionerzy amerykańscy. Strojne panie w świetnych ekwipażach dążyły przez zaułki miasta, które nigdy jeszcze nie widziały tyle bogactw, jak w dniu tym. Zamiast, jak dotąd, uczęszczać do ohydnych szynków, biedak, znalazłszy się bez dachu, za skromną opłatą 10 do 25 centów otrzyma czysty pokój, dobre łóżko i ciepłą kąpiel. Gorąca kolacja z mięsnych potraw w wygodnej restauracji, umieszczonej w suterrenach, kosztuje 10 centów. Za światło, opał i usługę w hotelu nic nie rachują. Piękny przykład bogacza amerykańskiego wszędzie powinienby znaleźć naśladowców wśród ludzi możnych.

Według obliczenia jednego z geografów francuskich, na świecie istnieje 860 języków i około 500 dyalektów. Na Europę przypada 89 języków, na Afrykę 114, na Azję 163, na Amerykę 417, a na Australię 117. Na wielu małych wyspach w Polinezyi mówią takim językiem, którego mieszkańcy najbliższych wysepek najzupełniej nie rozumieją, i ze swymi sąsiadami porozumiewają się tylko na migi.

Pisma zagraniczne donoszą iż przyznawaną przez akademię francuską corocznie nagrodę tak nazwaną Monthyon'a od imienia ofiarodawcy, otrzymała 79 letnia p. Bonnefois, która większą część życia spędziła wśród wędrownych towarzystw cyrkowych. Znając z doświadczenia ciemnotę i niedolę tych ludzi, postanowiła wpływać moralnie na ich dzieci, zajmując się ich kształceniem. Przy pomocy arcybiskupa z Rouen i jednego z paryskich radców municypalnych, nabyła na ten cel książki i materiały, potrzebne do szkoły przenośnej i jeździ za artystami jarmarczными, ucząc ich dzieci; w ostatnich czasach miała 250 uczennic i uczniów.

W dniu 22 grudnia przypadło w Chinach zaćmienie słońca, w oczekiwaniu którego wszyscy bardzo byli zatrwożeni. Cesarz wydał rozkaz wzbraniający składania mu życzeń w tym dniu, który jest także dniem nowego roku w Chinach. Odbywająca się zwykle wtedy uczta została odwołaną na kilka miesięcy z góry. Cały dzień miał być dniem pokuty, skruchy i żalu za grzechy. Rozkaz cesarski opiewa, że zaćmienie słońca jest karą za wykroczenia władcy państwa przeciwko sprawiedliwości i rozumowi. Cesarz przejęty był strachem i wciąż nad swojemi błędami rozważał.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Jubileusz Ojca Świętego (z portretem). — Góra Biruty — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Bambus czyli trzcina indyjska (z ryc.) — Na polance, powieść przez E. Jerlicza. — Z dalszego świata. — Dodatek: Murzyn i Chińczyk. — Do Maniusi, wiersz przez M. C. — U cioci Polci. — Gołąbek Bożenny. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



MURZYN I CHIŃCZYK.

Józio oglądał obrazki zamiast wstawać, chociaż wybiła już ósma. Wczoraj dostał ryciny od wujcia i schował je pod poduszczkę, a teraz cieszy się nimi i nie kładzie baczików.

— Fe, jacy szkaradni — zawołał rzucając obrazek, którym był wymalowany mały Chińczyk i mały Murzyn.

— Dla czego szkaradni? — pyta mama.

— Bo jeden jest żółty a drugi czarny, nie cierpię ich i nigdy nic o nich czytać nie będę.

— A może chcesz przynajmniej wiedzieć jak się nazywają?

— A jak mamusiu?

— Ten czarny chłopczyk nazywa się Dzing, a ten żółty Fo-fu.

— Śliczne imiona, dobre dla takich cudaków. O ileż to piękniej zwać się Józkiem!

— Pewnie, pewnie, a czy wiesz co oni robią?

— Cóżby innego zrobić mogli ci brzydale, straszą grzeczne białe dzieci.

— Wcale nie, powiem ci nawet, że oni codziennie porządnie się napracują dla ciebie.

— Dla mnie? Mama chyba żartuje.

— Nie żartuję, dziś już nawet czarny Dzing i żółty Fo-fu, a nawet wielu niezajomych ci także chłopców oddawało tobie usługi.

— Moja mamusiu, chciałbym wiedzieć co oni dla mnie zrobili.

— Zamknij oczy synku, i niech ci się zdaje, że poleciałeś gdzieś bardzo daleko na wschód. Powiedzieć ci cobyś tam zobaczył?

— Już zamknąłem. Proszę powiedzieć.

Stoimy nad morzem, które się nazywa Żółte; na brzegu leży dużo skrzyń. W te skrzynie młode żółte chłopcy, i twój znajomy Fo fu pakują ryż, w inne skrzynie herbatę. Choć zmęczeni się bardzo, odpocząć nie mają czasu.

— Dlaczego?

— Bo tam na morzu Żółtem, przy brzegu, kołysze się okręt, który popłynie do Gdańska.

— A co to jest Gdańsk?

— To jest wielkie miasto, dawniej polskie, które leży nad morzem Bałtyckim, w tym Gdańsku wyjmą skrzynie z okrętu i zanoszą na mały statek, który popłynie Wisłą do Warszawy.

— A w Warszawie co zrobią z temi pakami?

— Znow młodzi chłopcy... jak Fo-fu, ten żółty twój przyjaciel, który pakował herbatę i ryż...

— On nie jest moim przyjacielem, ja go nie znam.

Ale on dla ciebie pracował, a lubimy tych, którzy dla nas pracują.

— Niechże mamusia powie co się stało z temi pakami?

— Chłopcy wyładowali je ze statku na Wiśle, przyjechał wóz od kupca i zabrał paki do sklepu, a było ich bardzo dużo.

— Z herbatą i ryżem?

— Były jeszcze paczki, które podobałyby ci się więcej od tamtych.

— A co w nich było?

— Zaraz się dowiesz. Wprzód jednak zmróz oczy i pędź daleko na południe, aż nad morze, które się nazywa Czerwone.

— Tamto Żółte, a to Czerwone, jakie zabawne nazwiska!

— Mróz dalej oczy, a ja ci powiem co tam widać. Otóż u brzegów tego morza Czerwonego stoi okręt. Ten sam, który wioził z Chin skrzynie z herbatą zatrzymał się tu dla odpoczynku. Skorzystał z tego Dzing twój drugi znajomy z obrazka i przywiózł także skrzynię, a wiesz co w niej jest?

— Co, mamusiu?

— Figi, daktyle, rodzenki, te wszystkie dobre rzeczy, które jadłeś z choinki.

— Zkąd Dzing wziął to wszystko?

— Figi i daktyle rosną w Afryce tam gdzie on mieszka. Dzing zapakował je w pudełka i posłał na północ do Polski, dla takich jak ty chłopczyków, bo on wie że wszystkie dzieci lubią słodycze.

— Więc i Fo-fu i Dzing pracowali dla mnie?
 — I Dzing i Fo-fu i wszyscy ci chłopcy, którzy łądowali skrzynie na okręt i ci co wydobywali je w Warszawie, i ten grzeczny kupczyk, który ważył daktyle, ryż i figi.
 — To ja im powinienem być wdzięczny?
 — Niezawodnie. A co jeszcze powinienes Józiku?
 — Powinienem także dla nich pracować — powiedział zawstydzony malec, który nie wstał dotąd z łóżeczka.
 — Powinienes i będziesz pewnie pracował jak jeszcze trochę urośniesz, a tymczasem kochaj tych żółtych czarnych, białych, dalekich i bliskich choć nieznanomych ci ludzi, bo to są wszystko bliźni twoi

Z. B.

Do Maniusi.

Mania się raz przechwalała
 Ze najlepiej tańcowała,
 Na co mama: — choć mazurka
 Zręcznie tańczy moja córka,
 Jabym jednak to wolała,
 Aby książkę ukochała,
 Nie tak pytała się tancerka była
 Za to lepiej się uczyła.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— O nie, ciociu kochana; zróbmy mieszek — zawołał Henryś. — Nie mam pojęcia jak on wygląda.
 — Weźcie kwadratowy kawałek papieru — rzekła ciocia. — Złóżcie go na ukos dwa razy, aby znaleźć środek. Nazwiemy te dwie linie *b*. Przewróćcie papier na drugą stronę i złóżcie go przez pół znów w jedną stronę i w drugą i znów rozłóżcie, a te nowe linie nazwiemy *a* (fig. 53).

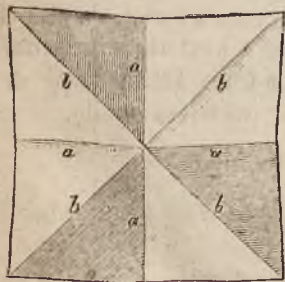


fig. 53.

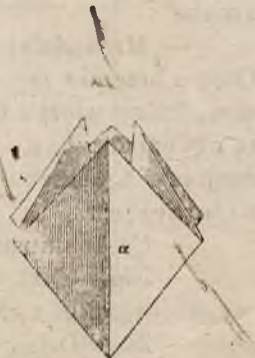


fig. 54.

Teraz zbierzcie cztery rogi razem, a papier sam z łatwością złoży się w linie naznaczone poprzednio (fig. 54). Połóżcie figurę płasko na stole i oznaczcie no-

we linie, zaginając górną połowę wzdłuż środkowej linii, jedna po drugiej wszystkie cztery, ale zagiąwszy je mocno trzeba rozłożyć. Potem przewróćcie figurę górną na dół i zagnijcie pozostało połowy w ten sam sposób. To zrobi pięć linii na każdej połowie papieru (fig. 55). Nazwijmy środkową linię *a*, dwie ukośne *b*, a punkt w którym się spotykają *c*. Spróbujcie teraz zgiąć papier podług składow *b*. Zobaczycie, że rózek od punktu *c* do kąta papieru wystaje, i jeżeli go założycie, utworzy rączki od mieszka (fig. 56). Ująwszy dwie rączki w prawą rękę, a dwie

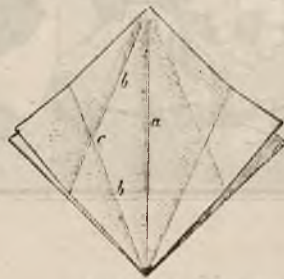


fig. 55.

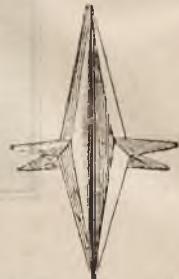


fig. 57.

drugie w lewą i poruszając je tam i napowrót poczujemy powiew wiatru, dobywający się z mieszka (fig. 57).

— Ciociu, może zrobimy pudełko ua marki dla Henrysia, to nie będzie ich tak często gubił — rzekła Elżbietka, uśmiechając się wskazała na braciszka.

(d. c. n.)

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg).

— Czy dotąd życie twoje było nieszczęśliwe? — pytała trochę zdziwiona Ludmiła; bo przejęta własnem nieszczęściem nie przyszło jej na myśl dowiadywać się o przeszłość chłopca, którego jej ojciec wyrwał z niewoli tatarskiej. Teraz dopiero, gdy biedny Węgrzynek dobrocią i poświęceniem swoim zjednał sobie jej serce, za pragnęła usłyszeć coś o jego przeszłym życiu, o jego rodzicach, o rodzeństwie, o okolicznościach, które go sprowadziły w te strony i do nich zbliżyły.

— Pyta panienska czy byłem nieszczęśliwy? — powtórzył Stefan ze smutnym uśmiechem, ciężkie koleje już przechodziłem, w krótkim stosunkowo życiu mojem. Jeżeli jednak panienska ciekawe dowiedzieć się przygód, jakich doświadczyłem, to im historję życia mego opowiem.

— Prosimy, prosimy — wołała z naleganiem Bożenna — bardzo jestem ciekawą twojego opowiadania.

— Przekonacie się z niego, panienska — mówił Stefan poważnie — że Bóg przychodzi zawsze z pomocą nieszczęśliwym i opuszczonym dzieciom, które ufność swoją w Nim pokładają.

Zasiedli we troje na ławeczce, Bożenna puściła trzymanego w rękach gołąbka, który co chwila siadał na jej ramieniu, jakby się nie mógł obejść bez jej pieszczot, a chłopiec zaczął opowiadanie swoje w te słowa:

Historya Stefana.

— Widomo panienkom, że jestem rodem z Węgier, i że małem dzieckiem porwany byłem przez cyganów. O pierwszych latach dzieciństwa, spędzonych w domu rodzicielskim, niewyraźne zachowałem wspomnienie; został mi tylko w pamięci obraz jakiegoś dużego, murowanego domu i licznej w nim służby. Przypominam sobie starą moją niańkę, która na krok mnie nie odstępowała, ale najlepiej zapamiętałem słodkie i łagodne oblicze mojej matki, gdy co wieczór pochylała się nad łóżeczkiem delikatną dłonią kreśląc znak krzyża świętego nad głową moją, podczas gdy stojący za nią ojciec, wysoki, z czarnym wąsem mężczyzna, uśmiechał się do mnie serdecznie. Brak tych pieszczot rodzicielskich zawsze odczuwałem w czasie nieobecności rodziców, gdy zostawałem wyłącznie na opiece starej piastunki; służba bowiem korzystając z nieobecności państwa używała wtedy najczęściej chwil swobody poza domem. Mogłem już mieć około czterech lat kiedy raz wypadło rodzicom na dłuższą wyjechać. Dnia jednego wieczorem niańka wcześniej niż zwykle ułożyła mnie do snu, okryła ciepłą kołderką, bo wiatr jesienny chłodem przejmował w dużych komnatach, a deszcz bił nieustannie o szyby. Chociaż po odmówionym krótkim pacierzu najczęściej zasypiałem prędko, tym razem ogarnęła mnie przykra jakaś za matką tęsknota, która spędzała sen z oczu.

— Mamo! mamó! — zacząłem wołać żałośnie i siedłem na łóżeczku oglądając się dokoła. Nie było nikogo; niańka zapewne wyszła na chwilę, aby się przypatrzeć tańczącym na weselu córki ogrodnika, odbywającym się w domku za ogrodem, któremu w ciągu dnia ja także przyglądałem się ciekawie. Widząc się opuszczonym, samotnym, zacząłem rzewnie płakać, aż zmęczony płaczem i daremnem wołaniem, zasnąłem. Po pewnym czasie obudził mnie jakiś szmer niewyraźny, a może przecucie grożącego niebezpieczeństwa; przy świetle nocnej lampki ujrzałem dwóch barczystych, o śniadej twarzy kędzierzawych włosach mężczyzn. Chociaż nie rozumiałem jeszcze znaczenia wyrazu: „rozbójnik” widok tych ludzi tak wielkim przejął mnie strachem, że nie miałem siły głosu wydobyć. Słyszałem jak jeden mówił do drugiego:

— Teraz właśnie dobra pora, dom pusty; ty pilnuj dziecka, żeby nie krzychało, a ja pójdę zabrać co lepsze.

Odszedł; jego towarzysz nachylił się nademną i czarnymi, błyszczącymi oczyma tak groźnie spoglądał, że głośno płakać zacząłem.

— Cicho malcze, bo inaczej załatwię się z tobą prędko — zawołał nieznajomy kładąc twardą, czarną dłoń na moich ustach. Przycichłem z przerażenia, a po chwili wrócił drugi złoczyńca obciążony łupem złotych i srebrnych naczyń, klejnotów, sukien, materyi jakie zdążył zabrać z komnat rodziców.

— Bierz chłopca — odezwał się rozkazująco; przyda nam się gdy trochę podrośnie, a tu mógłby nas zdradzić. Tylko spiesz się bo może kto nadejść.

Pochwycony silną ręką cygana, zacząłem się wyrwać, niby wróbel ujęty w sidła, wołałem na pomoc matkę, ojca, niańkę! Nie było ratunku. Okrutny człowiek ukrył mnie pod płaszczem swoim i przycisnąwszy ręką usta abym nie mógł krzyczeć, uniósł w noc ciemną.

Nie wiem jak długo trwała ta ucieczka; gdy doszli do gęstego, dużego lasu, cygan wyjął mnie z pod płaszcza, posadził na ramieniu, a, że drzałem ze strachu i zimna, okrył mnie jakąś starą chustą. Z towarzyszem swoim rozmawiali niezrozumiałym dla mnie językiem. Idąc przez parowy i puszcze dosięgli wreszcie porośniętego wzgórza, u stóp którego paliło się rozłożone szeroko ognisko; w koło siedzieli mężczyźni, kobiety i dzieci, różnego wieku i w różnych strojach, jedni w łachmanach, drudzy w jaskrawych sukniach; kilku mężczyzn w kaftanach lub czamarach ze świecącymi sprzążkami.

— Dobrze, że już dochodzimy do obozu — odezwał się niosący mnie cygan — dzieciak cięży mi na ręku jakby zamierał ze strachu i zimna. Matko, — dodał zwracając się do jednej ze starszych kobiet. zabierzcie sobie ułowionego w szlacheckim dworze chłopaka, potraficie go prędko przerobić na cygańskie dziecko.

Kobieta wzięła mnie na ręce, ale widząc jej ostre rysy, surowe wejrzenie, odczuwając boleśnie dotknięcie jej kościstych rąk, zaniósłem się znowu głośnym płaczem. Nie pomagały ani groźby ani uderzenia starej cyganki, zsiniałem i zeszywniałem od nieustającego krzyku. Wówczas, zdjęta widać litością, wysunęła się z grona siedzących kobiet młodsza wiekiem cyganka i odezwała się łagodnym głosem.

— Dajcie mi chłopca, ja go może uspokoje.

Przygarnęła mnie do siebie, wzięła na kolana i pieszczotliwie przemawiać zaczęła. Zrazu i to nie skutkowało, odwracałem się od niej ze wstrętem, ale nie zrażona obęściem mojem powtarzała ciągle z dobrocią:

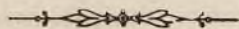
— Cicho maleńki, ja ci nic złego nie zrobię.

Ujrzawszy w końcu miłą jej, choć ciemną twarz pochyloną nademną, dostrzegłszy wzrok pełen współczucia utkwiony we mnie, objąłem ją rączkami za szyję i łkając ciągle zasnąłem z głową wspartą na jej ramieniu.

Odtąd poczciwa Bogna, takie było imię cyganki, wzięła mnie pod wyłączną swoją opiekę, kładła obok siebie na posłaniu z mchu lub siana wczasie ciągłej włóczędzy z miejsca na miejsce, wypraszała dla mnie wygodny kącik na wózek, lub sama dzwigała w płachcie na plecach. Z początku trudno mi było przywyknąć do prostej, najczęściej zimnej strawy, jaką żywią się wędrowni cyganie; Bogna litując się nad głodnym dzieckiem, z kotła w którym niekiedy jedzenie gotowano, wybierała niepostrzeżenie i chowała dla mnie lepsze kaski na zapas, lub gdyśmy zatrzymywali się w pobliżu jakiej wioski, wypraszała albo kupowała za parę groszy trochę mleka z kawałkiem razowego chleba. Jakże ten chleb czarny z mlekiem smakował mi wtedy! Wieczorem i rano opiekunka moja kazała mi klękać obok siebie i odmawiać pacierz, w którym podawnemu zanosilem prośbę o zdrowie dla mamy i taty. Żywo stawał mi wtedy w pamięci obraz utraconych rodziców, zwłaszcza ukochanej matki, ona bowiem w domu uczyła mnie znaku krzyża świętego i pierwszych słów modlitwy Pańskiej, przez długie miesiące przy tem pacierzu przywoływałem ją do siebie z rzewnym płaczem w rannych i wieczornych chwilach. Bogna pocieszała mnie gładząc pieszczotliwie po twarzy i mówiąc łagodnie:

— Nie płacz Stefusiu, nie płacz maleńki, jeśli będziesz zawsze dobry, grzeczny, posłuszny, to zobaczysz mamę kiedyś, a teraz obetrzyj oczki, zmów ładnie paciorek, aby ci Bóg dopomógł wyrosnąć na pocziwego człowieka i rodzice twoi doczekali się z synka pociechy.

(d. c. n.)



SZARADA.

Murzyna z nad Kongo.

Gdy mi pięć głosek postawisz w rządzie
Oznaczać oddział ma całość będzie;
Lecz gdy po głosce usuniesz z boków,
Otrzymasz miejsce pełne uroków,
Które cię wabi zielenią, ciszą,
Którego szmery do snu kołyszą.
Co gdy odwrócisz i w końcu małą
Dopiszesz głoskę, otrzymasz całą
Przestrzeń w mieszkaniu, często piękniejszą
Lecz zawsze pewno najobszerniejszą.
Wróć do drugiego, dodaj dwie głoski,
A nazwiesz przedmiot, który bez troski
Noszą panowie dla swej wygody,
Czasem z potrzeby lecz często z mody.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

p. Marykę R.

Z następujących sylab ułożyć 8 wyrazów, których początkowe i końcowe litery utworzą nazwiska dwóch słynnych poetów, hiszpańskiego i włoskiego: **ka—ba—da—di—el—ger—ko—ga—le—kam—lar—lak—no—ma—part—ry—na—top—tyl**
1) Miasto w gub. Chersońskiej. 2) Gromada wysp na oceanie Atlantyckim. 3) Zwierzę z rodzaju kotów. 4) Moneta amerykańska. 5) Rzeka w Niemczech. 6) Książę niem. ubiegający się o rękę księżniczki polskiej. 7) Kolumna piramidalna z kamienia. 8) Wodospad.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

B. Orzeł.

1. Spółgłoska.
2. Pierwotna broń.
3. Środkowa część Karpat.
4. Rzeka wpad. do m. Czarnego.
5.
6. Imię żeńskie.
7. Obszar wód.
8. Kanton w Szwajcaryi.
9. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzyć mają nazwisko słynnego wynalazcy z XIV wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 2.

Łamigłówni kropkowanej:

Jeśli chcesz aby rok nowy,
Prawdziwie się nowym stał,
Porzuć stare swe narowy
I młodości próżny szal,
Abyś go nie tylko z mowy
Życia nowym rokiem zwał.

Szarady: Kar — na — wał.

Arytmogryfu:

O K o
R o k
U n c y a
K a h i r
K a n a r e k
G r e n a d a
K o l o n i a
K o w n o
R o s y a
O k a
L i s

Skrzynka do listów.

P. Z. S. D. Za powiastkę dziękujemy, zapewne pomieszczoną będzie.

Za serdeczne życzenia wyrażone w miłych i pocziwych listach dzieci: z ochronki w Petersburgu, z zakładów Sióstr Miłosierdzia: w Marympolu, w Krakowie przy ul. Piekarskiej; w Bursztynie, w Czerwonogrodzie, i w innych przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać.” Prawdziwą dla nas nagrodą zadowolenie wasze i te chwile rozrywki jakich wam nasze piśmko dostarcza. Nie potrzebnie też prosicie byśmy je wam i nadal przysyłali, bo zawsze z równą przyjemnością czynić to będziemy. Zaczynam opiekunkom waszym dziękujemy również za łaskawe słowa i dobre życzenia.

P. Natalii B. Jako premium dla całorocznych prenumeratorów dajemy tylko książki wymienione w prospekcie t. j. dodatki powieściowe z lat zeszyłych.

Puszczycy kowi z Pilawy. Rzeczywiście, że w podpisaniu łamigłówni zaszła omyłka drukarska, powinno być przez Puszczyczkę z Pilawy, a nie p. Promyczka. Na raz przyszły już się ten błąd nie wkładnie. Figielek arytmetyczny i logogryf przysłane w ostatnim liście zużytkujemy, o ile tylko okażą się odpowiednie.

Dobre rozwiązania zadań nadesłali: **Paluszek, Sokół z nad Wisły, Krzyształek, Szczęsna, Józio B., Antochna, Sliweczka i Pogziomka, Stoń z Nubii, i Stanisław;** dwaj ostatni nadto dołączyli łamigłówni i arytmogryfy własnego układu.

Jasia W. przysłała łamigłównę kropkowaną, zapewne przez nieuwagę bez rozwiązania.

Szarotce z Tom. Za twój miły i zajmujący liścik wdzięczną jestem i spieszę z odpowiedzią. Komedyjka wkrótce drukować się będzie, bo redakcyja ma ich już kilka w zapasie. Pielęgnowanie palm wymaga wielkiej pieczołowitości, nie wszystkie gatunki potrzebują jednakowej wilgoci i ciepła, ale zawsze dużo światła i chronienia od przeciagów. Baczną uwagę trzeba zwrócić na przesadzanie coroczne, na gatunek ziemi użytej do tego i wielkość naczynia.

Wiel. Ptaszynie. Cieszę się bardzo żeś się nie zraziła moją otwartą odpowiedzią, ale sądząc z rozsądku jaki przebiega w twoich liścikach nie wątpiłam, że tak będzie. Adres o który zapytujesz: Wspólna 24 róg Kruczej.

Juskółka.